

TERESA KACZOROWSKA

Dwunastu na Trzynastego

Emigranci stanu wojennego

Krzysztof Ducki



Artysta z misją i plakatem

Budapeszt (Węgry)

19 październik 2007

Jego plakaty uderzają zwięzłością i trafnością przekazu, zadziwiają pomysłami, epatują mocnymi, odważnymi kolorami. Mają w sobie treść, często polityczną. Pozostają długo w pamięci.

Udziela rad młodym adeptom:

– Najważniejszą cechą plakatu jest koncentracja. I moment. Aktualność. Podam przykład: Na początku listopada 1956 na Ferihegy w Budapeszcie wylądował samolot. Przyleciał z Warszawy. Przywiózł krew. Krew dla rewolucji. Ogromna beka krwi... Czy trzeba to objaśniać? Każde słowo odebrałoby siłę wyrazu.

Nad Dunajem mówi się, że Krzysztof Ducki jest świeżą krwią dla węgierskiego plakatu.

Istvan Orosz, artysta: – Krwiał prosto w żyłę. Zwiotczała żyła!

Konrad Sutarski, dyrektor Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii: – Jego sztuka wywarła wielki wpływ na kształtowanie się węgierskiego plakatu.

Plakat (plakatok, posters) wypełnia Krzysztofowi Duckiemu całą dobę. Plakaty ma na ścianach budapesztańskiego mieszkania, w piwnicy, szczelnie zwinięte rulony wypełniają wszystkie zakamarki domu. Są w licznych albumach, katalogach, na wystawach. Latem najbardziej lubi je na ulicy. A zawsze i wszędzie plakaty nosi w sobie, bo z realizacją zamówień nie może nadążyć. Tylko czasami udaje mu się je porzucić, zostawić na kilka dni i wyjechać w węgierski plener na ryby. Całe szczęście, że ma dom na wsi.

– Wędkuję namiętnie! – Ducki uśmiecha się szeroko, po słowiańsku, w swoim artystycznie urządzonej, przestronnym

domu (a właściwie części sporej kamienicy), w ósmej „undergroundowej” dzielnicy Budapesztu. Przez duże okna wchodzi akurat złota jesień, różnobarwne liście leżą także we wnętrzu, na stoliku obok kanapy. Wszystkie kolory tej pory roku można też podziwiać w słonecznym ogrodzie, przez który należy przejść, zanim otworzy swoje gościnne drzwi. – Łowienia ryb nauczył mnie dziadek, na rzece Orzyc w okolicach Przasnysza. Jeździliśmy też razem na pobliskie Mazury. Niestety, na Węgrzech jest mało wód. A i ryby inne – opowiada z iskrą w oku, trochę w pośpiechu, podając kawę w różnokolorowych filiżankach. Nieco misiowaty, lekko szpakowaty, serdeczny, otwarty.

Zaciąga się papierosem.

– Jestem jednym z prawie tysiąca Polaków, których przyniósł tutaj stan wojenny. Większość wygnańców przeżyła nad Dunajem emocjonalne tragedie. Prawie każdy musiał zaczynać od zera. Dziś zaledwie niespełna dziesięć osób jest aktywnych, widocznych, uczestniczy w tworzeniu polskiej kultury na Węgrzech.

Rozmowę przerywa ciągle jego telefon komórkowy sygnałem... znanej polskiej melodii „Szła dziewczeczka do laseczka”. Ale język węgierski, którym posługuje się biegle Ducki, jest już dużo trudniejszy do rozszyfrowania.

Pochodzi z Warszawy, rocznik 1957. Podczas zdobywania szlifów artysty plastyka – najpierw w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych (słynnej Podchorążówce w Łazienkach Królewskich), a potem w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych – w każdą wolną chwilę porzucił stolicę dla przyrody Północnego Mazowsza. Najczęściej pędził do rodziny w Przasnyszu, niejednokrotnie rowerem, choć miał do pokonania ponad sto kilometrów. W Przasnyszu mieszkali nie tylko jego dziadek z babcią: Helena z Maciejewskich i Józef Duccy, ale także inni członkowie rodziny, którzy osiedli nad rzeką Węgierką wypędzeni po Powstaniu Warszawskim, jesienią 1944 roku.

– Pamiętam Krzysztofa jako młodzieńca inteligentnego, zafascynowanego pięknem przyrody – opowiada Jerzy Lech Maciejewski z Przasnysza, wujek artysty, starszy od niego siedem

lat. – Najczęściej przyjeżdżał rowerem „składakiem”, czasem z kolegą. Jak wyjechali z Warszawy rano, to w Przasnyszu byli po południu. Potem włóczyli się po okolicy przez kilka tygodni, wędkowali, szkicowali stare przydrożne kapliczki. Raz nawet zdjął ze ściany babci obraz i rysował na jego drugiej stronie.

Przed II wojną światową dziadek, Józef Ducki, był współwłaścicielem jednej z drukarni w Warszawie. Zawód po nim przejął jego syn, ojciec Krzysztofa – Jerzy Ducki. Ale w Polsce Ludowej mógł już zostać jedynie zecerem, bo drukarni po wojnie nie odzyskał.

– Ojciec pracował jako zecer prawie pięćdziesiąt lat. Nie raz podglądałem w warszawskich drukarniach jak układał ołowiane literki i wyczarowywał z nich artystyczne, poligraficzne majsterszyki. Dzieciństwo i młodość kojarzą mi się z dawnymi maszynami Heidelberga, zapachami farb drukarskich. Nigdy też nie brakowało mi papieru do rysowania.

Dom znakomitego zecera był również zawsze pełny publikacji, świeżych wydawnictw, różnorodnych druków. Krzysztof Ducki wychował się wśród książek, stąd do dziś są jego pasją. Nie tylko dużo czyta, ale pozostał zapalonym bibliofilem. Kolekcjonuje ciekawe wydawnictwa, szpera po antykwariatach, a półki w jego domowej budapesztańskiej bibliotece aż uginają się od różnorodnych tomów.

Przyszłą żonę, Agnieszkę Dolányi z Węgier, Krzysztof Ducki poznał jako student. Był to czas pielgrzymki na Jasną Górę, jego rodzice zawsze przyjmowali w domu pątników, udzielali im schronienia, przygotowywali prowiant. Matka artysty, Zofia z Maciejewskich Ducka, doskonale rozumiała pielgrzymów, gdyż sama chodziła z nimi nie raz do czarnolicej Madonny, Patronki Polski. I akurat Agnieszka z bratem trafiła latem 1978 roku do domu Duckich. Za ojca opatrnościowego ich znajomości młodzi małżonkowie z 1979 roku uznali mnicha z rodziny Agnieszki, benedyktyna Ádáma Somorjaia. On pierwszy zaczął bywać w Częstochowie, a potem zachęcił swoich węgierskich krewnych. Zakonnik ten pozostał do dziś duchowym opiekunem rodziny Duckich w Budapeszcie, choć pracuje już w Watykanie.

– Wesele było polsko-węgierskie, w Warszawie – pamięta krewny Jerzy Lech Maciejewski, który kontynuuje rodzinne tradycje poligraficzne i prowadzi w Przasnyszu drukarnię, jedną z najbardziej znanych na Północnym Mazowszu. – Było wesoło, no bo przecież „Polak Węgier dwa bratanki”... Pamiętam jak koledzy Krzysztofa z warszawskiej ASP wręczyli młodej parze oryginalny prezent: namalowane przez nich kolorowe krzesło, z bocianami na oparciu. Poznałem na tym weselu pewną Węgierkę, odwiedzałem ją potem i Krzyśka na Węgrzech. Ale za żonę wybrałem Polkę.

Po ślubie młodzi Duccy nie zamierzali wcale osiedlić się nad Dunajem. Swoją przyszłość wiązali z Warszawą, bo Krzysztof zarabiał dobrze już jako student. Latem rysował na Starówce portrety, świetnie się sprzedawały. Zaczął też ilustrować książki. Ponadto współpracował z Instytutem Węgierskim w Warszawie, dorabiał jako dekorator w Składnicy Harcerskiej. Jego studenckie dochody były już na tyle pokaźne, że pozwalały na utrzymanie młodej rodziny, włącznie z opłatą wynajmowanego w stolicy mieszkania. Duckich stać było nawet na częste latanie do Budapesztu, bo Agnieszka tęskniła za bliskimi. Krzysztof też polubił stolicę Węgier, poznawał kraj, język, choć w żonie miał zawsze tłumacza.

Pracując w Składnicy Harcerskiej wstąpił do rodzącej się tam „Solidarności”. Dzięki częstym podróżom do ojczyzny Agnieszki, poznał nad Dunajem ludzi z kręgów opozycyjnych. Zaczął funkcjonować w międzynarodowym ruchu antykomunistycznym. Przewoził w obydwie strony zakazane materiały, kolportował książki i wydawnictwa, kontaktował się z wybranymi osobami. Stał się pomostem (choć uważa, że to pojęcie zbyt wygórowane) pomiędzy rodzącą się opozycją polską a węgierską. W ten sposób wspierał przyjęte 8 września 1981 roku, na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w hali Olivii w Gdańsku – „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Polscy związkowcy wyrazili w nim poparcie dla opozycjonistów z państw bloku sowieckiego, podejmujących walkę o prawo do tworzenia wolnych związków zawodowych. Zachodni dziennikarze, którzy towarzyszyli obradom tego największe-

go kongresu opozycji w Układzie Warszawskim, uznali ten dokument za najważniejszy. „Posłanie” z Gdańska wzbudziło jednak wściekłość na Kremlu.

– Dzięki kontaktom między opozycją polską a węgierską, postrzegałem inaczej ówczesną sytuację. Miałem szerszy obraz patologii systemu – wspomina Ducki tamte lata.

Stan wojenny zastał go w Warszawie. W 1981 roku był na ostatnim roku studiów. Przygotowywał się do obrony pracy magisterskiej, w pracowni ilustracji książek prof. Janusza Stanego. Natomiast żona była 13 grudnia w Budapeszcie, spodziewała się tam pierwszego dziecka.

– Stan wojenny nie tylko pogrzebał moje nadzieje na wolny kraj, ale i wspaniale rysujące się po akademii plany artystyczne. Ponadto jako małżeństwo mieliśmy ogromne kłopoty, aby się połączyć. Węgierskie władze nie chciały mnie po prostu wpuścić na Węgry – do dziś opowiada o tym nieobojętnie, jak „młody gniewny”, pamiętając, że musiał przerwać intensywną pracę plastyka w Warszawie. Miłość do Węgierki była jednak silniejsza i zabiegał o pozwolenie wjazdu do kraju Madżarów.

Po ogłoszeniu stanu wojennego śledził w kraju, jak mógł, niespodziewany rozwój wydarzeń. Nasłuchiwał o akcjach protestacyjnych, strajkach w zakładach, instytucjach i uczelniach, o manifestacjach. I przeklinał bez pardonowe demonstracje siły władzy – milicyjnych kolumn, samochodów wojskowych, pojazdów pancernych. Warszawa, obok Gdańska i Śląska, przygotowała najsilniejszy opór przeciwko reżimowi. Stolica stała się zarazem miejscem największych operacji milicyjno-wojskowych. Najbardziej dramatyczne wydarzenia rozegrały się jednak w kopalniach i hutach, szczególnie w kopalni Wujek w Katowicach, gdzie 16 grudnia milicja strzelała do górników, nawet w plecy... Zabici tam i ranni mieli być ostrzeżeniem, że reżim nie cofnie się przed niczym. Niedługo po morderstwie w Wujku kolejne kopalnie, jedna po drugiej, także huty, fabryki, uczelnie, instytucje kapitulowały. Komuniści triumfowali. Nastąpiły represje wobec opozycji: szybkie procesy, skazywanie na wysokie wyroki

więzienia, na opuszczenie kraju, wyrzucanie z pracy. Trwało zastraszanie społeczeństwa.

Pierwszy symboliczny, ale mający masowy charakter społeczny odruch sprzeciwu, polegał na zapalaniu świec w zaciemnionych oknach, wieczorem trzynastego każdego miesiąca. Taką świecę zapalił Jan Paweł II w Wigilię 1981 w Watykanie, w swoim oknie umieścił ją także prezydent Ronald Reagan. Mimo iż bojaźliwi ostrzegali, że bezpieczeństwa spisuje okna, groźnych płomyków w stanie wojennym przybywało.

Inną formą protestu było wychodzenie tłumnie na spacer o godzinie 19.30, w porze nadawania „Dziennika Telewizyjnego” – głównego programu informacyjnego PRL. W ten sposób bojkotowano reżimową propagandę. Działyły tajne biblioteki i samopomoc związkowa i społeczna. Świadectwem oporu była też szeroka działalność samokształceniowa: wykłady, prelekcje, kursy – w mieszkaniach prywatnych, a także w kościołach, gdzie organizowano również cykle wystaw, koncertów, widowisk teatralnych i spotkań. Wielką popularnością cieszyli się nieprzejednani księża, często kapelani „Solidarności”, jak ks. Jerzy Popiełuszko i ks. Stanisław Małkowski w Warszawie, ks. Henryk Jankowski w Gdańsku, czy ks. Jerzy Jancarz w Krakowie.

Budowano też sprawny niezależny obieg informacji. Wydawano konspiracyjne książki i czasopisma, w tym „Tygodnik Mazowsze” oraz prasę katolicką. W latach 1982-1985 w tajnych wydawnictwach ukazało się w Polsce prawie dwa tysiące książek i broszur, często w nakładach sięgających 5-6 tysięcy egzemplarzy¹. W podziemiu odtwarzano także struktury zakładowe i bojkotowano kolaborantów. Głośne były przypadki „wyklaskiwania” podczas teatralnych przedstawień aktorów popierających władzę PRL, a nawet golenie głów aktorkom i piosenkarkom za wystugiwanie się oficjalnej propagandzie...

Ducki, mimo iż zajęty kończeniem pracy dyplomowej oraz staraniami o połączenie się z rodziną, był w centrum tych wydarzeń. Przeżył też w Warszawie rozwiązanie przez reżim NSZZ

¹ R. Terlecki, *Solidarność...*, op. cit., s. 105-106.

„Solidarność”. Ustawę w tej sprawie Sejm PRL posłusznie uchwalił 8 października 1982 roku. Delegalizacja „Solidarności” poruszyła wielu jej zwolenników. Demonstracje gniewu znowu w kraju wybuchły, szczególnie w Gdańsku, ale w starciach i zamieszkach ulicznych wygrało znowu ZOMO. Zawiodło wielu przywódców Związku. Wielki społeczny ruch, którego członkowie nie zdołali obronić, odchodził do struktur podziemnych.

Po obronie dyplomu Ducki jeszcze przez pół roku siedział w Warszawie na walizkach.

– W końcu, jesienią 1982 roku, musiałem wybierać pomiędzy Polską a Węgrami. Nie mogłem bowiem wyjechać z kraju na paszporcie turystycznym, tylko konsularnym. Ale i tak sądzę, że Węgrzy zgodzili się mnie przyjąć tylko dzięki zabiegom mojej teściowej – opowiada, choć zgadza się, że wyjazd na emigrację ponad 4 tysięcy członków „Solidarności” był w 1982 roku dużym osłabieniem antyreżimowej opozycji.

Już na Węgrzech dowiedział się o śmierci sekretarza sowieckiej partii komunistycznej, Leonida Breżniewa, po osiemnastu latach sprawowania władzy na Kremlu. Wprawdzie już dwa dni później stanowisko to zajął Jurij Andropow, szef KGB, można jednak było oczekiwać, że zmiany na szczycie władzy przynajmniej zachwieją skostniałą strukturą sowieckiego imperium. I rzeczywiście – Andropow zmarł po półtora roku sprawowania władzy, a w marcu 1985 roku śmierć zabrała też trzeciego już z kolei aparaczyka sowieckiego – Czernienkę. Nowy przywódca Michaił Gorbaczow, znacznie młodszy od swoich poprzedników, podjął się „pieriestrojki” pogrążonego w gospodarczej zapaści państwa, przegrywającego wojnę w Afganistanie.

W Polsce trwały jednak nadal procesy polityczne skazujące przez komunistyczną dyktaturę działaczy „Solidarności” na ciężkie i długie lata więzienia, prześladowania, zwolnienia z pracy. Wielu aktywnych działaczy NSZZ „Solidarność” masowo opuszczało Polskę. Statystyki z grudnia 1986 roku są do dziś zatrważające: w latach 1980-1986 z kraju wyjechało na stałe 740 tysięcy Polaków, z tego 70 procent nie przekroczyło 35. roku życia. Ale sytuacja międzynarodowa zmieniała się powoli na korzyść Związku. Reżim coraz bardziej obawiał się o swoją przy-

szłość i kalkulował zawieszenie broni. Także liderzy NSZZ „Solidarność” zaczęli przyjmować postawę coraz bardziej ugodową...

Po przyjeździe na Węgry Ducki też nie miał łatwo. W zasadzie każdy przebywający tam Polak był podejrzany. Węgierskie służby obserwowały również Duckiego. Wiedziały o nim wszystko, nawet kto znad Wisły go odwiedza.

– Był to dla mnie szok – pamięta. – W Polsce byłem przyzwyczajony do otwartości i nieskrępowania, zaś Węgrzy okazali się bardzo zachowawczy, wszystkiego się obawiali, a co najbardziej jest bolesne – fatalnie traktowali Polaków. Owszem, część obywateli rozumiała wolnościowy zryw nad Wisłą, ale większość węgierskiego społeczeństwa uwierzyła propagandzie. Powszechna była tu opinia, że Polacy strajkują, bo nie chce się im pracować. Dlatego mają puste sklepy. A oni, Węgrzy, są jak mróweczki i mają wystarczająco dużo: swoją paprykę, kiełbasę salami, dobre piwo, domek nad Balatonem...

I tak było przez dziesięć lat. Owszem, artysta z Polski miał krąg przyjaciół, wśród których czuł się dobrze, z wieloma pozostał do dziś w przyjacielskich stosunkach, ale panująca dookoła antypolska wrogość nie była mu obojętna. Całe szczęście, że żona pracowała w szkole, nauczała języka rosyjskiego, mieli rodzinę. Jakoś przetrwał.

Plakatem zaczął zajmować się przypadkowo. Po prostu wyczuł na Węgrzech brak tej sztuki. Na warszawskiej Akademii specjalizował się w zupełnie czymś innym – ilustrowaniu książek. Przed przymusową emigracją nad Balaton nie starał się nawet zrozumieć na czym polega projektowanie plakatu. Jednak wyniesione z Polski wyobrażenie o tej sztuce wystarczyło, aby na Węgrzech Ducki zaistniał w niej od razu. Zaczął od uczestnictwa w konkursach. I już w 1983 roku, czyli w rok po przybyciu do Budapesztu, plakat jego autorstwa, do filmu Costy Gavrasa „Zaginiony”, w konkursie zorganizowanym przez Galerię Narodową w Budapeszcie, uznano za najlepszy plakat roku.

– Sam byłem zdziwiony, że tak szybko poszło. Byłem przyzwyczajony do ciężkiej pracy – uśmiecha się, bo niedługo póź-

niej ten pierwszy artystyczny sukces powtórzył jeszcze kilkakrotnie: w 1985, 1986 i 1991 roku.

Do dziś nagród i wyróżnień w sztuce plakatu zdobył mnóstwo. Z ważniejszych warto wspomnieć, że trzy razy był laureatem głównej nagrody w innym artystycznym wydarzeniu węgierskim: Biennale Grafiki Stosowanej (Bekescaba 1988, 1990, 1992) i jeden raz w Europejskim Konkursie w Paryżu (1991). Otrzymał też stypendium Szonyi Istvana (1988-1990) oraz państwową nagrodę im. Ferenczy Noemi (1996). Natomiast trudniej mu było zaistnieć w Polsce, choć zdobył wyróżnienie na Międzynarodowym Biennale Plakatu (1988). Do tej pory ojczyzna uhonorowała go też medalami: Zasłużony dla Kultury Polskiej (1998), Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie (2004) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006).

– Sukcesy na Węgrzech miały i złe strony – wspomina. – Był taki okres, że im więcej zdobywałem nagród, tym byłem gorzej traktowany przez węgierski rynek sztuki. Mówiono, że i tak dobrze mi się powodzi...

Na etacie wytrzymał sześć lat. Woli być twórcą niezależnym. Przeważnie ma nawał pracy i choć nie narzeka na brak zamówień, to w wolnym zawodzie zawsze zdarzają się okresy zastoju. Nieustannie pracuje nad sobą, poszukuje nowych środków wyrazu, także w grafice.

W 1987 roku, wraz z Peterem Pocsem, Istvanem Oroszem i Sandorem Pinczehelyim założył Grupę DOPP. Nazwa pochodzi od pierwszych liter nazwisk jej członków, na czołowym miejscu jest Ducki, choć zastrzega się, że nie jest jej „pierwszą literą”, bo inicjatywa była wspólna. Mieli razem wiele bardzo udanych wystaw plakatu, na Węgrzech i poza granicami. Siła czterech plakacistów była większa niż jednego. DOPP przystąpił do szerokiej batalii. Zaprosił nowych artystów, organizował zagraniczne prezentacje, firmując je „DOPP i Przyjaciele”. Natępny krok to utworzenie w 2005 roku, na bazie DOPP, przez Krzysztofa i jego dwunastu węgierskich kolegów, Towarzystwa Plakatu Węgierskiego. W trzynastu są jeszcze silniejsi i postanowili, że ich prace będą uczestniczyć w ważnych tematach rocznicowych kraju, jak Październik’56, czy Beli Bartoka. Grupa DOPP wciąż jednak istnieje, czterech „pierwszych” nie rozwiązało jej jeszcze.

– Zabiegamy o godne miejsce plakatu na artystycznej mapie Węgier. Aby plakat był traktowany jak sztuka, co tutaj nie dla wszystkich jest oczywiste – mówi, że wciąż dla wielu mieszkańców Budapesztu plakat nie jest dziełem artystycznym.

Dla Duckiego plakat jest pasjonującym rodzajem sztuki. Dzięki niemu może również przekazać swój światopogląd, własne zdanie, stanowisko na wiele kwestii otaczającej rzeczywistości, wobec której nigdy nie był obojętny. Plakat traktuje jako środek komunikacji z odbiorcą. Kiedyś często prezentował swoje prace na wystawach, zbiorowych i indywidualnych. Począwszy od 1983 roku miał w nowej ojczyźnie wiele ekspozycji autorskich: w Budapeszcie, Debreczynie, w Eger oraz w Polsce: Warszawie, Lublinie, czy Tarnowie, ale także w Tokio, Helsinkach, Lahti, Turynie, Pradze, Sofii, Wiedniu. Dziś propozycje wystaw już go nie ekscytują, za to kocha swoje plakaty w miejscu ich przeznaczenia, czyli na ulicy. Tylko tam może konfrontować wśród przechodniów własny odbiór rzeczywistości, a zarazem potrzeby i marzenia drugiego człowieka, z którym wspólnie poszukuje historycznej prawdy. Na przykład w 1988 roku wyszedł spod jego ręki plakat o Siedmiogrodzie – jako jeden z pierwszych politycznych plakatów na Węgrzech. Dzięki niemu przechodnie, oglądając go na słupach ogłoszeniowych, mogli skonfrontować gorzką prawdę o regionie zamieszkałym w większości przez Węgrów.

W swoich pracach często dotyka dramatycznych dziejów swojej ojczyzny. Przejmujące do bólu i wyraziste są jego plakaty „Historia Polski”, „Niepochowany”, „Wizja robotnicza”, czy „Nierdzewny Stalin”. Wiele z narodowych polskich wartości próbuje uświadomić bratankom Węgom, którzy jego zdaniem są większymi konformistami i nie chcą wyzwolić się spod jarzma komunizmu. Odczuł to w 1989 roku, kiedy podczas pierwszych wolnych wyborów został mężem zaufania w jednej z wyborczych komisji.

– Do dziś w elitach władzy na Węgrzech są przeciwnicy rewolucji z 1956 roku, a nawet ci, którzy tłumili wtedy rozruchy, czy strzelali do swoich rodaków. Pomimo to 23 października, czy-

li w rocznicę Października'56, dziś w święto narodowe, nie wstydzą się w imieniu społeczeństwa składać kwiaty na grobach ofiar. Węgrzy są nadal rozbici, po cichu zazdroszczą Polakom odwagi.

Na ulicach Krakowa znalazły się niedwno plakaty Duckiego, ale juniora, dwudziestoczteroletniego Tomasza. Syn studiuje w budapesztańskiej Akademii Sztuk Użytkowych i poznaje arkaną zawodu reżysera filmów animowanych. Pierwszy jego film od razu zawojował Węgry, zdobył też liczne laury za granicą. Tomasz Ducki został okrzygnięty jednym z najlepiej zapowiadających się reżyserów filmu animowanego.

– Odniósł większy sukces niż ja – mówi senior, podkreślając nie bez dumy, że syn doskonalił swój warsztat i w Krakowie.

Również jego młodszy syn, Witold, choć studiuje komunikację społeczną na uniwersytecie w Piliscsaba, ma duszę artystyczną. Interesuje się dziennikarstwem, filmem, grafiką. Być może też drugie polsko-węgierskie pokolenie Duckich będzie jeszcze bliżej Polski, bo obydwaj – Tomasz i Witold – są ostatnio zakochani w Polkach. Tomasz poznał swoją Kasię z Bielska-Białej w... Irlandii, zaś Witold ma poznaniankę. Obydwu fascynuje ojczyzna ojca znad Wisły, chętnie ją odwiedzają, znają język polski. Podobnie jak ich węgierska matka, dziś Agnieszka Ducka, przypominająca z urody Lizę Minnelli.

– Cenię Polaków i lubię z nimi współpracować. Wydaje mi się, że dobrze rozumiem ich mentalność – mówi żona Krzysztofa niemal w biegu, wpadając na chwilę do domu podczas naszej rozmowy. Choć jest z zawodu pedagogiem, zajmuje się ostatnio handlem płytkami ceramicznymi. Oczywiście produkcji polskiej.

– Jest już bardziej Polką, niż Węgierką. Potrafi nawet grzyby zbierać... – śmieje się mąż, po jej wyjściu.

Krzysztof Ducki zaszczepił polskość swojej budapesztańskiej rodzinie także poprzez uczestniczenie w życiu kulturalnym węgierskiej Polonii. Swój graficzny stempel postawił na większości polonijnych książek, czasopism, zaproszeń, kalendarzy i wystawowych plakatów. A Polacy na Węgrzech, choć jest ich nie więcej niż dziesięć tysięcy, są aktywni. Jako jedna z mniejszości narodowych na Węgrzech mają swój samorząd, budżet, muzeum, szko-

ły; nawet wydziały polonistyki na kilku uniwersytetach. Wydają też sporo książek oraz kilka czasopism polsko-węgierskich. Ducki był redaktorem graficznym miesięcznika „Polonia węgierska” (1997-1999), a od 2000 roku kształtuje szatę graficzną kwartalnika „Głos Polonii”.

– Gdyby nie stan wojenny, byłbym w Polsce pewnie przede wszystkim ilustratorem książek, bo to moja specjalizacja – wdycha, pokazując zbiór pierwszych egzemplarzy pism polsko-węgierskich oraz zaprojektowane przez siebie grafiki w licznych wydawnictwach.

Od kilkunastu lat jest stałym kreatorem plastycznego wizerunku Instytutu Polskiego w Budapeszcie, który ma siedzibę w sercu miasta, budapesztańskim Brodwayu. Niemal każdą nową wystawę tam prezentowaną zwiastują w mieście plakaty Duckiego.



– Staram się, aby sztuka polska była dla Węgrów bardziej zrozumiała – podkreśla artysta. – Współpracuję też z Instytutem Węgierskim w Warszawie, który z kolei stawia mi zadanie abym sztukę węgierską podał w sposób atrakcyjny Polakom. Mam więc podwójną rolę. To swego rodzaju misja.

Czy może powiedzieć, że znalazł w życiu swoje miejsce?

– W słownikach sztuki i encyklopediach węgierskich już je mam... – śmieje się, gdyż nie ma obywatelstwa węgierskiego i nie zabiega o nie. Zaliczany jest jednak do ścisłego grona twórców Węgier, w konkursach i na przeglądach reprezentuje sztukę tego kraju. I nie widzi już możliwości zmiany, choć czuje się stuprocentowym Polakiem.

– Na pewno gdyby nie stan wojenny mieszkałbym do dziś i tworzyłbym w mojej rodzinnej Warszawie. Ale tak mi się życie ułożyło, że nie bardzo już mogę wrócić, mimo iż artystom łatwiej dziś żyje się w Polsce niż na Węgrzech. Mam tutaj wciąż jakąś sprawę do załatwienia...

Przede wszystkim czuje się w kraju nad Balatonem potrzebny. Jest czołowym twórcą, Węgrzy cenią jego prace, a jednocześnie stanowi pomost dla kultury polskiej na Węgrzech.

– Węgrzy jak chcą poczuć Polskę przychodzą do mnie. Chodzi nie tylko o polską sztukę. Prowadzimy z żoną tradycyjny dom, są u nas polskie potrawy, po polsku świętujemy Boże Narodzenie i Wielkanoc. Przynajmniej raz w roku jedziemy po energię nad Wisłę, gdzie mam jeszcze mamę, rodzinę i przyjaciół.

Do dziś nie może darować generałowi Jaruzelskiemu, że z jego powodu musiał opuścić Ojczyznę. Uważnie śledzi wydarzenia w Polsce i czeka niecierpliwie na wyjaśnienie stanu wojennego i osądzenie jego sprawców. Nie rozumie dlaczego trwa to tak długo.

– Przecież wprowadzenie stanu wojennego, kiedy brat musiał strzelać do brata, było aktem strasznym. I musi zostać potępione i osądzone. Mam nadzieję, że nie zmieni się już tak potrzebna polityka przywracania pamięci historycznej w Polsce, i doczekam się jeszcze prawdy – mówi w przeddzień nowych, przyspieszonych wyborów do parlamentu III (lub IV) Rzeczypospolitej.